



Andriej Diakow "Do światła" - fragment 2

Fahrenheit Crew

Andriej Diakow „Do światła”

z rosyjskiego przełożył: Paweł Podmiotko

FRAGMENT DRUGI: „Stalker”

Tłum rozstąpił się, przepuszczając gości. Gleba przeszył dreszcz, kiedy stalker przechodził koło niego. Budził strach... a jednocześnie straszną ciekawość. Chłopiec bokiem ominął tłoczących się na peronie gapiów i usadowił się nieopodal głównego ogniska, żeby słyszeć całą rozmowę.

- Cześć, Taran. Chodź do nas, usiądź przy ognisku. - Siwowłosy, energiczny staruszek zakrzętnął się przy kociołku, nalewając do miski porcję polewki. - Zupa dziś wyjątkowo dobra! Proszę, dobry człowieku, spróbuj. Czym chata bogata...

Ponury mężczyzna położył ukryty w pokrowcu karabin obok siebie, usiadł na ocynkowanej skrzyni i przyjął z rąk staruszka miskę z dymiącym posiłkiem. Rozpiął jedną z kieszeni kamizelki, wyjął z niej kompaktowy dozymetr i zbliżył do zupy.

Staruszka jakbyś ktoś potraktował brzytwą, jednak zamilczał i z wysiłkiem przywołał na twarz życzliwy uśmiech.

- Jedz, Taran, nie bój się. To wszystko nasze, naturalne... Grzybki, kartofelki, dopiero co z grządki wykopane!

Z półmroku stacji wychynął jeszcze jeden jej mieszkaniec, w zdartych walonkach i wytartym waciaku, który wiele już widział.

- Już! Zachar ze swoją drużyną patroszą ptaszka - zaczął dziarsko, przysiadając się do kręgu. - No, potrafisz strzelać, brachu! Za jednym razem żeś bydlaka położył!

Pod ciężkim spojrzeniem stalkera chłopina zaciął się i szybko zmienił temat.

- Żółć zhandlujemy „ogryzkom” - powiedział już spokojniej Karpac. - A skóra będzie na buty. I mięsa się z kwintal uzbiera. Stary, bo stary, ale jednak skończył już latać nasz „messerschmitt”!

- Taranowi podziękuj... I starczy językiem mleć po próżnicy! - Stary dołożył do ognia kolejne polano i obrócił się do stalkera. - Dziękujemy za pomoc, dobry człowieku! Bo my to, sam rozumiesz, bez wypadów na powierzchnię nie damy rady. Drew się teraz nie kupi, więc musimy wyściubiać nos na zewnątrz...

Stalker, powoli przeżuwał jedzenie, patrzył w ogień.

- Wienię Jefimiczuka straciliśmy przez tę gadzinę... A taki dobry człowiek z niego był! - Stary Pałycz

wyraźnie był w nastroju do wspomnień, ale przytulna atmosfera szybko uleciała, kiedy do ogniska podszedł chudy przywódca stacji, Nikanor.

- Tak jak się umówiliśmy - powiedział sucho, stawiając u stóp stalkera okazałych rozmiarów worek.

Taran niespiesznie rozwiązał mocny węzeł i niedbale wysypał zawartość na ziemię. Tabletki, pudełeczka, zwoje bandaży wysypały się, tworząc bezkształtną stertę, z której stalker zaczął pedantycznie wybierać niektóre przedmioty i odrzucać je na bok. Pogrzebał z minutę, zgarnął większość medykamentów z powrotem do worka, wstał i zarzucił go sobie na plecy.

- Posłuchaj, Taran... - Stary, unikając wzroku stalkera, przestępował z nogi na nogę i ciężko wzdychał. - To są przecież prawie wszystkie lekarstwa, jakie nam zostały. Może... przyjmiesz zapłatę w jedzeniu... albo jeszcze jakoś inaczej?

Nikanor stał nieruchomo. Tylko mięśnie na jego twarzy mocniej się uwydatniły.

- Nakupicie więcej u „ogryzków” - uciął twardo Taran.

Wrzucił do opróżnionej miski parę naboju - za nocleg i kolację - podniósł karabin i poszedł.

Pałycz klasnął z zakłopotaniem dłońmi, a Nikanor splunął ze złością pod nogi. Jego gniewne spojrzenie natrafiło na Gleba.

- A ty czego się gapisz, próżniaku! Czy może już dziś przepracowałeś swoje? Jak tak, to zaraz ci dołożę!

Gleb rzucił się do składziku, marząc o tym, by jak najszybciej zniknąć z oczu wściekłego naczelnika. Przecisnął się przez wąski korytarz, złapał za stojącą pod ścianą łopatę, wskoczył w uniwersalnego rozmiaru buciory pokryte zaschlą skorupą błota i jak zwykle polazł w stronę dołu na nieczystości. Po emocjonującym spotkaniu z przerażającym stalkerem chłopiec był roztrzęsiony.

Wybieranie cudzych odchodów było znacznie spokojniejsze i zwyczajne.

* * *

- Halo! Halo! - Nikanor wrzeszczał na całe gardło do słuchawki telefonicznej. Łączność z Technolożką była jak zwykle beznadziejna. Poprzez chrypiące zakłócenia przebiegał się daleki głos, lecz naczelnik stacji nie mógł zrozumieć nawet połowy słów.

- Powtarzam! Będziecie musieli z nim rozmawiać tutaj, na Moskiewskiej! Jest uparty jak osioł! - Nikanor wsłuchiwał się w skupieniu, potem energicznie pokiwał głową. - Tak, tak! Wysyłajcie! Upprzedzę patrolę! Będziemy na was czekać!

Nikanor odłożył słuchawkę i padł w wysłużony fotel, zapalając skręta. Telefon... To chyba jedyna oznaka cywilizacji, która ostała się na Moskiewskiej. A i tu kabel był przeciągnięty przez mazutów. Przecież to oni dostarczali prąd do kilku żaloznych żarówek, podtrzymujących na stacji skąpe oświetlenie. Bajońskie kwoty, jakich żądali za światło, nie zjednywały mazutom miłości ludu. Nikanor nie znosił tych chytrych drani, jednak nie mógł nic na to poradzić.

Zgasił niedopałek i wstał od stołu. Trzeba było wydać dyspozycje odnośnie do oczekiwanych gości.

* * *

Klik... klik... klik... Odgłos zatrzasnącej się pokrywki zippo był magiczny. Na wypolerowanej do połysku powierzchni zapalniczki wyraźnie odcinał się relief dwugłowego orła.

Czasem – co prawda, niezwykle rzadko – Gleb pozwalał sobie nawet potrzeć kółkiem o krzesiwo i w upojeniu obserwować, jak kołysze się mały języczek ognia. Ojciec mówił, że z zapalniczki należy korzystać oszczędnie, i Gleb dobrze to zapamiętał.

W ciągu tych kilku lat, które minęły od śmierci rodziców, chłopiec ani na chwilę nie rozstawał się z tym pięknym metalicznym świecidełkiem – jedyną rzeczą przypominającą mu utraconą rodzinę. I zippo do tej pory działała. Choć za każdym razem słabiej. Dlatego Gleb coraz rzadziej ją zapalał. „Ognisko domowe”... Chłopiec pamiętał jak przez mgłę, co znaczy to wyrażenie, ale święcie wierzył, że teraz to on jest strażnikiem tego właśnie ogniska domowego i póki ognek będzie się tlił w zapalniczce, jego rodzice zawsze będą gdzieś blisko...

Gleb nie spostrzegł, jak ogarnął go sen.

Czarodziejska zapalniczka zadziałała: w ciemności ukazała się twarz... Tak bliska... Nieco zmrużone oczy i nieposłuszne loki ładnie pachnących włosów. Mama...

Ze półdrzemki wyrwało chłopca gwałtowne szarpnięcie za rękę. Gleb podniósł wzrok i zobaczył opasłego Prochę – miejscowego chuligana i lizusa. Ten obracał zapalniczkę w swoich grubych palcach, przyglądając się zdobyczy. Nieco dalej rozmieściła się jego świta – troje brudnych smarkaczy z szyderczym uśmieszkiem obserwowało, co robił wódz.

– Dobra rzecz! – oznajmił tłusciuch z aprobatą, pokazując trofeum kolegom.

– Oddawaj! – Gleb skoczył na równe nogi i wpatrywał się ze złością w swego prześladowcę. – To moje!

– To sobie weź. – Grubas uśmiechnął się złośliwie, trzymając zapalniczkę nad głową.

Gleb podskoczył, próbując jej dosięgnąć. Dzieci zarechotały. Grubas był wyższy od Gleba o głowę i nieomal dwa razy szerszy. Gleb nie miał szans. Procha szczyrzył z zadowoleniem swoje podgniłe zęby.

– No, oddawaj! – Gleb zaszlochał, poddając się. – To prezent od taty! Dawaj natychmiast!

Grubas, ubawiwszy się setnie, pchnął go mocno w nos pulchną pięścią. Gleb wyrócił się na ziemię, boleśnie uderzając o beton. Z nosa poszła mu krew. Chłopiec był gotów się rozbeczeć. Rozpacz i żal wezbrały z taką siłą, że miał ochotę czym prędzej zniknąć... przepaść... uciec z tego okropnego miejsca... żeby być razem z rodzicami.